



PRAWDOMÓWNY TADZY

Po obu brzegach rzeki Tsangpo* żyły niegdyś dwa plemiona. Jedno z nich nazywano Północnym, drugie zaś – Południowym, rzeka Tsangpo bowiem płynie z zachodu na wschód. Każde plemię miało swego wodza, a był nim – jak nakazuje obyczaj – człowiek najmężniejszy, najroztropniejszy, najsprytniejszy. Oba plemiona żyły w zgodzie i przyjaźni – starczyło im własnych pól i stad, nie musiały więc napadać na sąsiadów. Obaj wodzowie mieli tyle samo wojowników. Żadne z tych dwu plemion nie było ani słabsze, ani silniejsze, ani odważniejsze od drugiego. Aby jednak wynieść swe plemię ponad plemię sąsiednie, wodzowie starali się o coś niezwykle cennego i zdumiewającego. Nie oręż, lecz dziw miał rozstrzygnąć, które z plemion jest bardziej godne szacunku.

Spotkali się raz obaj wodzowie, zasiedli przy filiżance herbaty, zjedli po pół udźca jaka i zaczęli rozmowę.

— Czym możesz zadziwić ludzi naszego plemienia? — zapytał wódz z północnego brzegu.

— Mam — odparł wódz południowy, a w głosie jego dźwięczała duma i pewność zwyczajstwa — konia, który umie mówić ludzkim głosem.

— Jakże koń może przemawiać ludzkim głosem? — zdumiał się pierwszy. — Nigdy o tym nie słyszałem.

* Tsangpo — nazwa górnego biegu rzeki Brahmaputry.



— Więc chodź ze mną, a przekonasz się — zaprosił wódz południowy swego sąsiada.

Przeprawili się przez rzekę Tsangpo i poszli do domu wodza Południowego Plemienia. Gospodarz kazał przyprowadzić konia. I oto przed wodzami stanął gniady rumak o mądrych oczach, pogrzebał kopytem ziemię i rzekł:

— Witaj, dostoyny gościu!

Wódz północny pokiwał z uznaniem głową.

— Zaiste — powiedział. — Wielki to i niespotykany dziw. Nigdy nie widziałem gadającego konia.

— Czy przyznajesz teraz pierwszeństwo mojemu plemieniu? — zapytał sąsiad.

— O, nie! — zawołał wódz północny. — Koń umiejący mówić ludzkim głosem to dziw bardzo rzadki, ale my możemy pochwalić się czymś jeszcze bardziej niezwykłym.

— Czym? — zaperzył się wódz południowy.

— Mamy w naszym plemieniu młodzieńca imieniem Tadzy. Słynie on z tego, że nigdy jeszcze żadne kłamstwo nie wyszło z jego ust.

Roześmiał się wódz południowy i śmiechem wybuchnęli wszyscy ludzie Południowego Plemienia przysłuchujący się rozmowie. Któż to słyszał, żeby człowiek nigdy nie skłamał?

— Nigdy w to nie uwierz! — zawołał wódz południowy. — Nie ma na ziemi człowieka, który nie kłamie. Wydaje ci się dostoyny sąsiadzie, że twój Tadzy jest prawdomówny. Na pewno jego kłamstwa są tak zręczne, że zdają się być prawdą. Przegrałeś bracie i musisz uznać, że dziw, który ci pokazałem, jest największy.

— O, nie! — sprzeciwił się wódz północny. — Nasz Tadzy jest prawdomówny. Nigdy nie kłamie. Zresztą możesz się o tym sam przekonać. Zgadzam się, byś poddał go każdej próbie, jaką sam wyznaczysz.

— Dobrze — zaśmiał się gospodarz. — Posłucham twjej rady, a wtedy sam nazwiesz swego Tadzy kłamcą i przyznasz mi rację w obecności wszystkich ludzi twego i mego plemienia.

Na tym skończyła się rozmowa wodzów.

Przez kilka dni wódz Południowego Plemienia obmyślał, jakiej to próbie poddać prawdomówność Tadzy. Wreszcie zaświtał mu w głowie dobry pomysł. Wezwał córkę i tak do niej przemówił:

— Słyszałaś o naszym sporze z wodzem Północnego Plemienia. Chęłpi się on, że człowiek imieniem Tadzy nigdy nie kłamie. Nie mogę



w to uwierzyć. Być może kłamie rzadko, ale na pewno i jemu zdarza się powiedzieć nieprawdę. A gdyby nawet był najbardziej prawdomównym człowiekiem na ziemi, trzeba znaleźć sposób, by zmusić go do kłamstwa. Jesteś moją córką, spryt twój znany jest i ceniony w plemieniu. Musisz więc iść do Tadzy i uczynić wszystko, by skłamał w obecności ludzi swego i naszego plemienia. A teraz idź i zrób to, co ci kazałem.

Nazajutrz przed ba*, w którym mieszkał Tadzy, usiadła piękna, młoda dziewczyna i zaczęła nucić pieśń o miłości. Tadzy wyszedł zwabiony pieśnią i ujrzał córkę wodza Południowego Plemienia.

— Witaj! — powiedział grzecznie. — I powiedz mi, co sprowadziło cię przed mój dom?

— Witaj, Tadzy! — odparła dziewczyna. — Posłyszałam o twjej prawdomówności. Potem widziałam, jak celnie strzelasz z łuku i jak odważnie dosiadasz dzikiego konia. Pokochałam cię i przyszłam, by pozostać w twoim ba jako żona.

— Wielki to dla mnie zaszczyt, że najpiękniejsza dziewczyna z południowego brzegu Tsangpo, córka wodza, chce zostać moją żoną — odrzekł Tadzy. — Wybacz jednak, ale nie chcę wzbudzać gniewu w sercu twego ojca. Musisz wrócić do siebie, do swego ba.

— Mój ojciec też słyszał o tobie, Tadzy i z pewnością nie potępi mnie za to, co zrobiłam. Jeśli jednak nie chcesz mnie wziąć za żonę, wiedz, że nie odejdę sprzed twego ba. Kocham cię nad życie i tylko śmierć może mnie stąd zabrać.

Tadzy nie wiedział, co począć. Bał się wprowadzić dziewczynę do swego ba, a jednocześnie chętnie pojąłby ją za żonę. Przez trzy dni i trzy noce córka południowego wodza siedziała przed domem Tadzy. Czwartego dnia weszła do ba jako żona człowieka, który nigdy nie kłamał.

Upłynęło wiele dni. Tadzy bardzo kochał swoją żonę. Opowiadał jej wiele ciekawych rzeczy. Troszczył się o nią, sprawił jej piękny fartuch, kupił ozdoby, by wpięła je we włosy. Dziewczyna, która przychodząc pod jego ba myślała tylko o wykonaniu polecenia ojca, poczuła, że Tadzy stał się jej bliski, że kocha go coraz bardziej. Ale ojciec przypominał jej wciąż o obowiązku i żądał, by zmusiła swego męża do kłamstwa.

Pewnego dnia, gdy Tadzy wrócił z pastwiska, zastał żonę chorą. Leżała na posłaniu smutna i blada. Tadzy bardzo się przeląkł.

* Ba — namiot, domostwo



— Co ci dolega, kochana żono? — zapytał patrząc na nią z niepokojem. — Czym cię wyleczył, czym ucieszył?

— Chora jestem, Tadzy, ciężko chora. Mądry kapłan mego ojca, który dziś mnie odwiedził, orzekł, że nie ujdę śmierci.

— To być nie może! — zawołał przerażony Tadzy. — Nie pozwolę ci umrzeć. Czyżby mądry lama nie powiedział ci, jakie lekarstwo może cię uratować?

— Powiedział — westchnęła — ale nie wiem, czy zgodzisz się na to. Tylko ty bowiem możesz to lekarstwo dla mnie zdobyć.

— Mów więc czym prędzej, kochana — poprosił Tadzy. — Wiesz dobrze, że gotów jestem uczynić wszystko, by znów ujrzeć cię w zdrowiu.

— Nie mogę ci powiedzieć, bo jeśli odmówisz, umrę w tej samej chwili. Tak powiedział lama.

— Mów, mów, kochana, a przysięgam, że uczynię co trzeba dla ratowania twego zdrowia i życia.

— Słuchaj więc — powiedziała żona — ojciec mój, wódz Południowego Plemienia, ma konia mówiącego ludzkim językiem. Musisz pójść w nocy do zagrody mego ojca, po kryjomu zabić konia i wyjąć mu serce. Jeśli je zjem, będę zdrowa.

— Żono moja! — zawołał ze smutkiem Tadzy. — Jakże mogę to uczynić? Ojciec twój ceni tego konia nade wszystko i uważa go za największy, przynoszący zaszczyt i sławę twemu plemieniu, dziw.

— Wiem o tym — westchnęła znów żona. — Gdyby ojciec mój dowiedział się o tym, straszny byłby jego gniew. Musisz więc rzecz całą zachować w tajemnicy, w przeciwnym wypadku życiem przypłacisz swój postępek.

Zamyślił się Tadzy.

— I jeszcze jedno — powiedziała żona. — Biada, jeśli dasz mi do zjedzenia serce innego konia, kłamiąc, że zabiłeś tego, który mówi.

— Wiesz przecież — oburzył się Tadzy — że nigdy nie kłamię. A teraz czas na mnie, zmrok zapada. Dzisiejszej nocy dostaniesz lekarstwo i będziesz zdrowa.

Tadzy wziął nóż i wyszedł ze swego ba. Przeprowadził się przez rzekę i gdy sen ogarnął ziemię, wszedł do zagrody południowego wodza. Stało tam wiele koni. Tadzy podchodził do każdego i pytał:

— Czy to ty jesteś koniem mówiącym ludzkim językiem?

Gdy wreszcie stanął przed gniadym rumakiem i usłyszał jego odpowiedź, sięgnął po nóż. Ale ręka mu opadła, żal mu było zabić tak piękne



i mądre zwierzę. Odszedł więc i usiadł na kamieniu, wzdychając ciężko. Koń popatrzył na niego uważnie i powiedział:

— Wiem, że masz mnie zabić. Dlaczego się wahasz?

— Mądry koniu — drżącym ze wzruszenia głosem rzekł Tadzy — jakże mam to uczynić? Żal mi ciebie i nie chcę gniewu wodza ściągać na swą głowę. Ale kocham żonę i nie chcę, by umarła. Ciężko mi zadać śmiertelny cios, bo wiem, że jesteś jedynym koniem, mówiącym ludzkim językiem.

— Jesteś szlachetny, Tadzy — odpowiedział koń. — Nikt nie uniknie jednak swego losu. Zawsze stanie się to, co ma się stać. Zabij mnie i przestań się smucić. Trzecie źrebię, które przyjdzie na świat w tej zagrodzie, a stanie się to za miesiąc i dziesięć dni, będzie umiało mówić.

Tadzy zabił mądrego konia i wyjął mu serce. Gdy szedł ku rzece, niebo zaciągnęło się chmurami i spadł deszcz i grad, co, jak wiadomo, oznacza wielki smutek.

„Oto nawet niebo zasmucone moim postępkami płacze — pomyślał. — Ale skoro lituje się nade mną, być może, wybaczony mi będzie mój czyn”.

Ledwie to pomyślał, chmury rozwarły się i blask księżyca legł u jego nóg. Ucieszył się Tadzy, bo ujrzał w tym niechybny dowód zmiłowania niebios. Śpiesząc do swego domu, myślał:

„Żal i smutek zamieszkały w moim sercu, niebo polało mnie łzami. Ale smutek nie trwa wiecznie, kiedy chmury ustąpią, słońce ogrzeje ziemię i znów zapanuje radość. I radość wróci do mego domu, bo moja ukochana znów będzie zdrowa i jutro pieśnią mnie powita”.

Tadzy oddał serce mówiącego konia swej żonie, a ona zjadła je i od razu udała, że jej wracają siły, wstała z łoża i rzekła:

— Jestem zdrowa, dobry Tadzy. Ale co teraz poczniesz? Ojciec mój zauważył brak konia i zacznie szukać winowajcy. Co powiesz?

— Powiem mu prawdę — twardo postanowił Tadzy.

— O nie, mężu, nie! Błagam cię, nie mów ojcu o tym, bo niechybnie zabije cię w wielkim gniewie. W Tybecie jest wiele zwierząt dzikich i krwiożerczych. Powiedz memu ojcu, że to zły zwierz rozszarpał konia. Albo powiedz, że koń spadł z wysokiej góry, nie mów tylko, że to ty zabiłeś. Nie chcę utracić ciebie teraz, skoro przywróciłeś mi zdrowie.

Przez kilka dni namawiała męża do kłamstwa i uczyła go, co ma powiedzieć ojcu. Tadzy smutny i zrozpaczony — gdyż doszły go wieści, że wódz okrutnie boleje nad stratą konia i obiecuje uciąć głowę



zabójcy — słuchał jej w milczeniu. Uznała więc, że Tadzy pogodził się z koniecznością kłamstwa i gdy minął tydzień od owej nocy, której Tadzy zabił konia, wróciła do domu swego ojca. Opowiedziała mu wszystko, a wódz zadowolony, że teraz będzie mógł udowodnić swemu sąsiadowi, iż nie ma człowieka, który nigdy nie kłamie, pochwalił ją za roztropność. Następnego dnia zaprosił wodza Północnego Plemienia na ucztę. Gdy już zjedli i wypili, tak rzekł do swego gościa:

— Spieraliśmy się, kto z nas ma dziw nad dziwy. Twierdziłeś, że w twoim plemienu jest człowiek imieniem Tadzy, którego usta nigdy nie wyrzekły kłamstwa. Nadszedł czas, by rozstrzygnąć spór. Wezwij tedy ludzi swego plemienia, ja zawołam swoich i niechaj stanie przed nami Tadzy.

— Zgoda — odparł wódz Północnego Plemienia.

Naszykowano jadła i picia dla wszystkich. Zebrało się mnóstwo ludzi.

Obaj wodzowie zasiedli pośrodku wielkiego koła. Tadzy kazano, by stanął przed nimi.

— Czy jesteś tym, o którym mówią, że nigdy nie kłamie i nazywają Prawdomównym? — zapytał wódz południowy.

— Tak, wodzu, to o mnie tak mówią. Imię moje brzmi Tadzy.

— Czy nigdy nie skłamałeś?

— Nie, wodzu. Obecni tu ludzie mogą temu przyświadczyć.

— I nigdy nie wyrzekniesz kłamstwa?

— Nigdy, wodzu — twardo odrzekł Tadzy.

— Zadam ci zatem jedno pytanie — powiedział wódz. — Słyszałeś chyba, że miałem konia, który umiał mówić. Jakiś niegodziwiec zabił go i wydarł mu serce. Obiecałem, że złoczyńca poniesie karę. Oto nóż — mówiąc te słowa podniósł ostry i cienki kindżał — który zatopię w sercu tego, kto ośmielił się zabić mego konia. Czy wiesz, kto to uczynił? Czy znasz imię tego nikczemnika? — zapytał wódz i wyżej podniósł nóż, jakby przypominając młodzieńcowi, jaki los spotka zabójcę konia.

— Znam, wodzu. Ten człowiek stoi przed tobą. To ja, Tadzy, zabiłem twego konia.

W tej samej chwili z ba wodza wybiegła córka i rzuciwszy się ku swemu mężowi, objęła go mocno rękami.

— Nie zabijaj go! — zawołała. — Nie zabijaj!

— Nie zabijaj go — powtórzyli za nią ludzie obu plemion. — Bardziej kocha prawdę niż własne życie. Dał dowód, że nigdy nie kłamie.



Zamyślił się wódz Południowego Plemienia i odłożył nóż.

— Prawdę rzekłeś — powiedział do wodza Północnego Plemienia. — Oto człowiek, który nigdy nie kłamie. Szkoda, że po to, by przekonać się o tym, musiałem stracić ulubionego konia. Nigdy już nie będę miał takiego.

— Nie, wodzu — odezwał się milczący przez cały czas Tadzy. — Trzecie źrebię, które przyjdzie na świat w twojej zagrodzie, będzie umiało mówić ludzkim językiem. Tak mi powiedział przed śmiercią twój gniady rumak.

— Nie mam synów — rzekł wstając wódz — ale ten oto człowiek, który stał się mężem mej córki, będzie wodzem mego plemienia, gdy ja umrę. Czy chcecie tego? — zwrócił się do ludzi.

— Chcemy, chcemy! — zawołali wszyscy.

I po wielu latach, gdy stary wódz zmarł, prawdomówny Tadzy, został wodzem jego ludzi, a sława jego przysporzyła Plemieniu Południowemu wiele chwały. Bo niewiele jest ludzi na świecie, którzy nigdy nie kłamią.